

Konieczne, niemożliwe



Mariusz Janicki

Chyba najbardziej frustrującą cechą polskiej polityki jest prawidłowość, że to, co racjonalne, logiczne, optymalne, jest zarazem kompletnie niemożliwe. Stan pożądany – dla państwa, społeczeństwa, publicznego ładu – jest niby oczywisty, ale przez to właśnie wykluczony. Jest na to wiele przykładów. Władza PiS mogłaby wprowadzać swoje 500 plusy, „przywracać godność”, nawet zmieniać system podatkowy, a jednocześnie nie rujnować praworządności i stosunków z Unią Europejską – bo pierwsze nie wymaga drugiego. Ale to absolutnie niemożliwe, taki produkt nie istnieje, są tylko pakiety. Andrzej Duda mógłby stać się poważanym także poza swoją „bańką” prezydentem, nie musiałby się wstydić powrotu do Krakowa za cztery lata; wydawałoby się, że zwłaszcza w drugiej kadencji ma to na wyciągnięcie ręki. Jednak postanowił, że tak się nie stanie. W internecie oszalałającą karierę robi fragment jego wywiadu dla telewizji wpolsce.pl, gdzie zachowuje się co najmniej dziwnie. To wygląda jak symbol jego prezydentury, z którą i jemu jest chyba źle.

Syndrom niemożliwości rzeczy oczywistych dotyczy również opozycji. Sondażowe analizy mówią dość dokładnie, w jakich blokach powinny te formacje iść do wyborów, a wcześniej współpracować, aby pokonać PiS (sondaż o opozycji i jego omówienie na s. 12). Ale jest niemal pewne, że takie optymalne konfiguracje nie powstaną. Może zawiązać się inne, znacznie mniej skuteczne, albo też nie będzie ich wcale. Opozycja doskonale wie, że węgieryzacja, czyli nadmierne jej rozdrobnienie, grozi kilkunastoma latami autorytarnej władzy, ale niemożliwe jest choćby stworzenie wspólnego roboczego sekretariatu.

Zasada niemożności obowiązuje rzecz jasna w samej Platformie. Oto szef PO szoruje po dnie rankingów zaufania i klasyfikacji „liderów opozycji”, za jego przywództwa partia straciła ponad połowę swojego poparcia i to w czasie, kiedy obóz rządzący przeżywał największy kryzys od 2015 r. Jest też działacz tej partii, jej wiceprzewodniczący; ten z kolei jest na szczycie wspomnianych rankingów, a niespełna rok temu zebrał ponad 10 mln głosów w wyborach prezydenckich. To oczywiste zatem, że liderem Platformy pozostanie ten pierwszy. Byłoby dziwne i niesłychane, gdyby stało się inaczej.

Ten brak racjonalizmu, porzucanie naturalnych opcji, robienie na przekór rzeczywistości i oczywistości dotyczy całego polskiego życia publicznego. Ostatni przykład: można było znaleźć kandydata na RPO w wyniku porozumienia władzy i opozycji, gdyby władza tego chciała, i kulturalnie go powołać, dając mu naprawdę mocny mandat do sprawowania funkcji. Ale zapowiada się zacięta walka kandydatki PiS i kandydata opozycji, wydzieranie pojedynczych głosów, podchody i zwodzenie, czyli kto kogo przechytrzy. To efekcie wybierze się rzecznika jednej strony, na kontrze, a potem będzie się go zaciekle atakować i unieważniać.

Według tej samej filozofii „kto kogo” był tworzony tzw. Polski Ład. Jego istotą od samego początku nie było budowanie nowej pandemicznej wspólnoty po ciężkich społecznych doświadczeniach, otwarcie świeżych perspektyw na fali pocovidowego odprężenia (o końcu lockdownu piszemy na s. 16). To byłaby wersja optymalna, logiczna, ale właśnie dlatego – zupełnie wykluczona. Polski Ład został precyzyjnie pomyślany jako projekt konfrontacyjny. Świadczy o tym kampania po prezentacji, jak choćby znamienna wypowiedź

premiera Morawieckiego o „bogaczach, którzy nie dokładają się do dróg” – bezsensowna, nieprawdziwa i pełna złej woli. To zdanie zdradziło intencję całej koncepcji: wskreszenie Polski „liberalnej kontra solidarnej” i uruchomienie ducha walki klas (o współczesnych polskich klasach społecznych piszemy na s. 20–25). PiS do katalogu konfliktów, obok ustrojowego i kulturowego, świadomie dołączył ekonomiczny. To są wciąż te same instrumenty władzy, teraz już nie dwa, a trzy pokrętła, którymi operuje szef PiS.

Coraz bardziej beczelna polityka obozu władzy napotyka z kolei bezradność opozycji, która nie nadąża za kolejnymi ekscesami; nie jest wystarczająco twarda, dobrze zorganizowana i zmotywowana, co pokazuje choćby ostatnie głosowanie nad funduszem odbudowy w Senacie. Ta bezradność jest chętnie traktowana jako dowód braku racji, a to z kolei jeszcze bardziej rozzuchwala władzę.

Ale i władza może stracić kontrolę na własną propagandą. „Polski Ład” został starannie przygotowany marketingowo, ale być może właśnie został przesterowany, sklecony według zbyt już zużytych wzorców. Widać w pomysłach podatkowych PiS dokładną analizę wyborów prezydenckich. Jednak społeczeństwo się zmienia, zdarza się, że niespodziewanie buntuje się ktoś, kto nie był do buntu przewidziany.

Takie sygnały już słychać. Gra podatkami wydawała się łatwa, ale podział Polaków według kryteriów dochodowych nie jest taki prosty. Nawet w jednej rodzinie ktoś zarabia lepiej, ktoś gorzej, podatkowe ulgi rodziców emerytów mogą się okazać znacznie mniejsze niż straty ich dzieci i wnuków. Zyskać może żona, ale poszkodowany będzie mąż i odwrotnie – to system naczyń połączonych. Władza oficjalnie coś policzyła, ale teraz prywatnie liczą obywatele: podatki, ale też ceny żywności, paliwa, prądu, czynszu, z doliczeniem inflacji. Nagle rachunek może się przestać zgadzać. „Polski Ład” miał być blitzkriegiem, a zamienia się w wojnę pozycyjną. Tym razem szczegóły okazują się ważniejsze od hucznego spektaklu i PiS jest tym wyraźnie zaskoczony. Nawet 70-metrowe domki z płaskim dachem zaczynają budzić wątpliwości – ostatnio jeden z polityków PiS powiedział, że może jednak będą jakieś pozwolenia, tyle że „bardzo szybko wydawane” (o domkach piszemy na s. 51). Jest takie powiedzenie, że sukces dokładnie opowiedziany zamienia się w klęskę.

Polska polityka wytworzyła własną rzeczywistość, w której czuje się dobrze. Bywa, że także komentatorzy reagują na zasadzie odruchów bezwarunkowych: wszystko, co robi Kaczyński, jest genialne, a opozycja jest beznadziejna, powiedzą to obudzeni o dwunastej w nocy. Ale to nie musi być obiektywny stan rzeczy. Wiele wskazuje na to, że trwa teraz w polskiej polityce bardzo chwiejna równowaga. PiS może znowu wygrać wybory, ale też koncertowo się wyłożyć. Nawet powrót obozu władzy do dobrych notowań w sondażach nie musi oznaczać, że to jest tak samo silna sympatia jak wcześniej. Rzeka wydaje się ta sama, ale jak wiadomo, nigdy nie jest taka sama. Wygra ten, kto pierwszy pokona próg własnych niemożliwości.

Jan Koza



© JAN KOZA

Swoi swoich

NIK Mariana Banasia skierowała doniesienia do prokuratury **Ziobry** na premiera **Morawieckiego**, szefa jego kancelarii Michała Dworczyka, szefa MSWiA Michała Kamińskiego oraz szefa Ministerstwa Aktywów Państwowych Jacka Sasina. Chodzi o bezprawne działania w sprawie tzw. wyborów kopertowych. Premier – jak wiadomo to już z wcześniejszego wyroku Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego – zlecił przygotowania do wyborów, nie mając do tego podstawy prawnej, czym rażąco naruszył prawo. Podobnie jak minister Dworczyk. NIK donosi więc, że nadużyli władzy (art. 231 kk). Z kolei ministrowie Kamiński i Sasin nie dopełnili obowiązków (też art. 231 kk), bo nie wykonali decyzji premiera o przygotowaniach do wyborów. Nie zaskarżyli jej, a więc, mimo swojej bezprawności, ich obowiązywała.

Banaś przerzucił więc piłeczkę na boisko Ziobry – który też jest skłócony z premierem. Prokurator generalny Ziobro natychmiast oświadczył, że Morawiecki postąpił tak, jak należało, a wszystkiemu winna jest opozycja, która „podlegała prezydentów miast do tego, by zablokowali przeprowadzenie wyborów. To oni odpowiadają za podjęcie działań ze strony pana premiera, by wymogom konstytucji stało się zadość i prezydent został wybrany”.



Można jednak śmiało obstawiać, że Ziobro nie pozbędzie się tak łatwo możliwości trzymania Morawieckiego w szachu. Sprawy „dwóch wież” prezesa Kaczyńskiego prokuratura Ziobry nie rozstrzygała: wszczęć śledztwo czy nie – przez dziesięć miesięcy (mimo że na decyzję ustawowo



miała 30 dni). Decyzja o odmowie wszczęcia pojawiła się dopiero tuż przed wyborami parlamentarnymi, gdy miejsca na listach wyborczych były zaklepane.

Organa kontrolne mają w dzisiejszej Polsce charakter autorski. Obok NIK Banasia i prokuratury Ziobry jest też Trybunał Przylębskiej. Gdyby np. doszło do postawienia zarzutów premierowi, to właśnie Trybunał mógłby orzekać w sprawie zgodności z konstytucją takiego rozumienia artykułu 231 kk, o nadużyciu władzy, który mógłby doprowadzić do odpowiedzialności Morawieckiego i jego ministrów. W końcu już to przerabiano: autoryzując ułaskawienie Mariusza Kamińskiego i jego ludzi przez prezydenta, zanim zostali prawomocnie skazani.

Może też niedługo dojdzie kolejny autorski organ kontrolny: NSA Łukasza Piębiaka? W NSA czeka na rozpatrzenie odwołanie premiera od wyroku WSA uznającego, że w sprawie wyborów kopertowych działał bez podstawy prawnej. Tymczasem neoKRS nominowała do NSA właśnie byłego wiceministra sprawiedliwości, autora „reformy” sądownictwa i bohatera głośnej afery hejterskiej w Ministerstwie Sprawiedliwości. A także – członka neoKRS wybranego do Rady bez wymaganej liczby podpisów, Macieja Nawackiego. Kadencja obecnego prezesa NSA Marka Zirk-Sadowskiego mija w przyszłym roku. (ES)

Inkwizycja weterynaryjna

Tadzio i Danusia, dwa dziki osierocone przez matkę i wychowane na butelce przez braci Leszka i Bogdana Szydełów, żyły sobie spokojnie, na podwórku gospodarstwa w Lutowie w województwie kujawsko-pomorskim. Teraz na dziki wydano wyrok śmierci. Po pięciu latach dowiedziała się o nich Inspekcja Weterynaryjna i uznała, że należy je zlikwidować. Stanowią zagrożenie epidemiczne (ASF), chociaż nigdy w lesie nie były i nie opuszczały swojego podwórka. Egzekucja miała się odbyć 26 kwietnia i tylko obecność dziennikarza „Faktu” sprawiła, że towarzyszący powiatowej inspekcji weterynarii mężczyzna uzbrojony w broń Palmera (do usypiania na odległość dzikich zwierząt) schował karabin do samochodu. A dziki, jak zwykle, podchodziły do ludzi, domagając się głaskania. Najbardziej lubią po brzuchu: wywalają się na plecy, by je drapać.

Od kilku tygodni cała rodzina żyje w napięciu. Zwłaszcza **Bogdan Szydeł**, który pięć lat temu uratował dziki od pewnej śmierci. Jako naganka uczestniczył w polowaniu i widział, jak myśliwi zabijają lochę, nie bacząc na to, że karmi kilkudniowe warchlaki. Wrócił do lasu, znalazł puste gniazdo, jeszcze ciepłe. Młode uciekły, jak go usłyszały. Następnego dnia wrócił z bratanekami, synami Leszka. Małe osłabły, leżały w pustym gnieździe, czekając na matkę; całą piątkę zabrał do domu. Bogdan i Leszek karmili je co dwie godziny. Pojedynczo, ale te, które były następne w kolejce, tak się pchały, że nie dawali rady, więc Bogdan łączył taśmą butelki. W jednej ręce miał trzy, w drugiej dwie. Jadły jednocześnie, szło sprawniej. – *Były poranione przez psy myśliwskie* – opowiada Bogdan. Najbardziej Tadzio, który miał pokąsany cały zad, a małeńkie jąderka zwisały poza moszną. Musiał dokonać kastracji, potem obmył wszystko płynem



dezynfekcyjnym i kupił antybiotyk dla świń w zastrzykach; Tadzio się wygoił. O wszystkim opowiedział podczas kontroli w lipcu ubiegłego roku, kiedy inspekcja powiatowa po raz pierwszy zainteresowała się dzikami. Na podwórzu były już tylko dwa, bo trójkę rodzeństwa Bogdanowi udało się umieścić w Mini Zoo Centrum Hipoterapii i Rehabilitacji Zabajka w Stawnicy. – *Inspektor w trakcie kontroli zaleciła wykonanie podwójnego ogrodzenia, rozłożenie mat dezynfekcyjnych i przyczepienie tabliczek o zakazie zbliżania się* – mówi Bogdan. – *I wszystko to zrobiliśmy.*

Wkrótce jednak dostał wezwanie do prokuratury. W sprawie znęcania się nad zwierzętami. Chodziło o tę „kastrację” Tadzia. Po kilku dniach postępowanie umorzono. Pan Bogdan znalazł dla dzików miejsce w ogrodzie zoologicznym w Bydgoszczy Myśliczku, ale inspekcja weterynaryjna nie zgadza się na transport. I dalej upiera się, by je zlikwidować. (AS)

Z szabelką na brzozę

Radosław Sikorski

Kiedyś dziennikarz, potem m.in. szef MON, MSZ oraz marszałek Sejmu. Obecnie w PE.



Podczas posiedzenia senackiej komisji gospodarki kompetentni wiceministrowie rzeczowo tłumaczyli historię sporu o transgraniczne oddziaływanie kopalni Turów oraz planowane z Czechami wspólne przedsięwzięcia, które mają skłonić sąsiadów do wycofania pozwu. W tym samym czasie reżimowe media zagrzewały do krucjaty przeciwko TSUE i wskazywały rodzimych wrogów, którzy widzą jakąkolwiek rację po stronie czeskiej. Dość typowe zachowanie naszej neo-sarmackiej władzy: zawiadające wyrażanie całemu światu sprężone z nieporadnością w świecie realnym.

Lepiej poszło rządowi w sprawie reakcji na akcję białoruskiego KGB wobec Ramana Pratasewicza, ale tu pomógł nam splot unikalnych okoliczności. Łukaszenka zaatakował nie tylko białoruską opozycję, ale też globalny przemysł lotniczy i poczucie bezpieczeństwa każdego potencjalnego pasażera. Atakując unijny samolot wiozący głównie unijnych pasażerów, Bačka sprowokował unijnych przywódców do reakcji. Tym razem zareagowali szybko i stanowczo, co Łukaszenkę zabolilo. Jeszcze bardziej zaboląłaby go blokada jego prywatnych pieniędzy na kontaktach w Zatoce Perskiej oraz większe wsparcie dla białoruskiej opozycji. Najlepszym straszakiem przeciwko transgranicznym represjom byłoby przekonanie dyktatorów, że w odpowiedzi na każdy atak na dysydentów przebywających na terenie Unii podwoimy budżet na wspieranie wrażeń im diaspory.

Jednak najdonioślejszym wydarzeniem w otoczeniu międzynarodowym Polski ostatnich dni jest decyzja prezydenta USA o zawieszeniu sankcji nałożonych na firmy budujące rurociąg Nord Stream 2. Tak jak w sprawie Białorusi, w tej sprawie wszystkie polskie rządy

prowadziły w ostatnich dwóch dekadach podobną politykę i niestety – z podobnym skutkiem. Klęska rządu PiS w próbach zatrzymania inwestycji jest tylko o tyle bardziej spektakularna, że nasi nadwiślańscy trumpiści roili sobie, że wypracowali uprzywilejowane stosunki nie tyle z USA, ile z ich ekstrawaganckim – byłym już – prezydentem. Odrzucili więc standardowe w dyplomacji utrzymywanie dobrych relacji z ówczesną amerykańską opozycją. Nie wiadomo mi, aby próbowano stworzyć koalicję państw zagrożonych przez Nord Stream – Ukrainy, Słowacji, Czech i Polski – dla wpłynięcia na amerykańskie decyzje. Bilans projektu „Izrael nad Wisłą” przedstawia się więc na razie następująco: oddanie polskiej jurysdykcji nad amerykańskim personelem wojskowym, gigantyczne kontrakty wojskowe bez offsetu i z niewiadomymi terminami dostaw, brak Fortu Trump, za to zgoda na Nord Stream. Plus wypadnięcie Polski z grona kluczowych sojuszników w wojnie świata zachodnich demokracji z autorytaryzmami. Wizyty u Erdoğan i sojusze z europejskimi postfaszystami tego nie zrekompensują.

Wszystko to było łatwe do przewidzenia, było prorokowane i nie skłoniło naszych władz do jakiegokolwiek refleksji. Więc jeszcze raz, panowie. Mając do wyboru interes Ukrainy i Europy Środkowej oraz interes Niemiec i Rosji, prezydent USA wybrał interes Niemiec i Rosji. I to w sprawie rurociągu, który zwalczał jego własny biznes naftowo-gazowy. Czy nadal uważacie, że Ameryka osłoni was przed konsekwencjami każdej awantury, którą wywołujecie z sąsiadami, i każdej niegodziwości, którą popełniacie w polityce wewnętrznej? Czy naprawdę sądzicie, że gwarancje amerykańskie są tym pewniejsze, im bardziej Polska wyrabia sobie status półsojusznika, jaki mają już Węgry i Turcja? A może czas przestać szlajać się po europejskich oplotkach, demontować praworządność oraz wadzić się z głównymi mocarstwami i instytucjami Unii? Co jeszcze musi się stać, żebyście przestali kierować nas na wąwóz i brzozy?

Stowarzyszenie wątpiających medyków

Pod koniec maja oficjalnie zarejestrowano Polskie Stowarzyszenie Niezależnych Lekarzy i Naukowców – ogłosiła szczęśliwa Justyna Socha, liderka antyszczepionkowej grupy „STOP NOP”. Na czele nowego stowarzyszenia stanęła dr **Dorota Sienkiewicz**, pediatra i lekarz rehabilitacji, od której wypowiedzi na temat szczepień ochronnych odcina się jej macierzysta uczelnia, Uniwersytet Medyczny w Białymstoku. W Sejmie w 2018 r. przekonywała, że preparaty stosowane do immunizacji w ramach Programu Szczepień Ochronnych nie są bezpieczne i według jej wiedzy zawierają aluminium. Wciąż jednak pracuje na Wydziale Nauk o Zdrowiu białostockiej uczelni.

Rzecznik stowarzyszenia dr Piotr Rossudowski na początku rozmowy od razu podkreśla, że nie jest antyszczepionkowcem i przeszedł cały kalendarz szczepień. Uważa jednak, że nie należy wprowadzać większego zagrożenia, niż ono faktycznie jest. Ale więcej powiedzieć nie może – zarząd postanowił, że do planowanej na 10 czerwca konferencji nie udziela żadnych informacji. Inni lekarze z nowo powstałego stowarzyszenia również nie chcą się na razie wypowiadać.

Do PSNLiN należy m.in. dr Katarzyna Bross-Grafin von Walderdorff, homeopatka z Katowic, którą mianowano wiceprezeską



stowarzyszenia. Od lat występuje przeciwko obowiążkowym szczepieniom dzieci – w sprawie jej wypowiedzi na ten temat od 2017 r. przed Sądem Dyscyplinarnym Naczelnej Izby Lekarskiej toczy się postępowanie. Zarówno dr Sienkiewicz, jak i dr Bross-Grafin są sygnatariuszkami listu otwartego do prezydenta i rządu, który jesienią 2020 r. wystosowało 450 lekarzy sprzeciwiających się szczepieniom przeciwko koronawirusowi. Lekarze sugerowali, że na skutek masowych szczepień może umrzeć więcej osób niż obecnie z powodu Covid-19. Naczelny rzecznik odpowiedzialności zawodowej wezwał lekarzy na nieobligatoryjne przesłuchania w sprawie „podważania konieczności przestrzegania zasad i zaleceń w czasie zagrożenia zdrowia publicznego pandemią”. Dla sygnatariuszy listu był to jednak kolejny argument utwierdzający ich w przekonaniach – i w poczuciu osaczenia. Dr Bross-Grafin w wywiadzie

na youtube'owym kanale Centrum Edukacyjnego Polska wspomina nawet o „nękaniu” ze strony rzecznika. Podkreśla, że stowarzyszenie to „podstawa do zrzeszania lekarzy, którzy będą mogli jeszcze odważniej się wypowiadać”. Bo: „Najważniejsze jest dla nas docierać do coraz większej liczby osób”. Biorąc pod uwagę coraz większą popularność antyszczepionkowego przekazu, w którym nie ma pandemii, a jest jedynie „wojna informacyjna”, publiczność na konferencjach stowarzyszenia z pewnością się znajdzie. (AGSZCZ)

O antyszczepionkowcach rosnących w siłę czytaj też na s. 33.

Ostatnia trybuna

Lód pod nogami **Krzysztofa Zyzika**, redaktora naczelnego „Nowej Trybuny Opolskiej”, topnieje. Dziennikarz nie pozwolił na wydrukowanie wywiadu z Danielem Obajtkiem. I zrobił to jako jedy-ny spośród szefów wszystkich przejętych przez PKN Orlen dzienników. Nie pierwszy raz zresztą zaszedł za skórę nowemu szefowi. W grudniu ub.r. opublikował na stronie swojego dziennika tekst „Wolność słowa nie jest na sprzedaż”; pisał w nim, że mimo kilku przekształceń własnościowych (najpierw „NTO” wydawała dziennikarska spółdzielnia, później przejmowały ją kolejno spółki z Norwegii, Wielkiej Brytanii i Niemiec) jemu i jego kolegom zawsze udawało się zachować dziennikarską niezależność. Zaprzeczył, by od 2008 r. – jak twierdzi Obajtek w wywiadzie – w firmie nie było podwyżek wynagrodzeń. Uznał, że artykuł mógłby wprowadzać czytelników NTO w błąd, i dlatego wywiadu nie puścił.

Nowy właściciel Polska Press nie bawi się w półśrodki. O przeprowadzanych zmianach personalnych niedawno pisaliśmy („PiS Press”, POLITYKA 20). Teraz w PKN Orlen uznano, że pora te przetasowania jakoś uzasadnić. Wybór padł na sprawdzoną narrację o „Polsce w ruinie”. „Polska firma,

która działa w wielu obszarach, kupiła firmę od właściciela niemieckiego i zaczęła się potężna krytyka. Jakoś tej krytyki nie było, kiedy niemiecki właściciel zwalniał dziennikarzy, ograniczał informacje z regionu, bo 70 proc. informacji szło centralnie” – mówił w wywiadzie przedrukowanym w dziennikach Polska Press Obajtek. Stwierdził, że spotkał się ze związkami zawodowymi i to, co usłyszał, było „bardzo niepokojące”. W „Super Expressie” dodawał: „Od 2008 r. dziennikarze nie mieli w Polska Press podwyżek. A jakie mieli warunki lokalowe! Dramat! Dla mnie ważny jest szacunek dla pracownika”. Do „porządkowania” wydawnictwa wyznaczono Tomasza Przybeka, w latach 2012–16 członka zarządu Fratrii, wydawcy „Sieci” i wPolityce.pl.

„Porządki” już widać. Nową redaktor naczelną „Gazety Wrocławskiej” została Alicja Giedroyc-Skiba, dotąd szefowa dolnośląskiego oddziału „Gazety Polskiej Codziennie”. Szefem „Gazety Lubuskiej” będzie Janusz Życzkowski, wcześniej wicenaczelnym Polskiego Radia Zachód. Z kolei nowym naczelnym „Głosu Wielkopolskiego”, jednego z najprężniejszych dzienników w portfolio Polska Press, został prawicowy dziennikarz Wojciech



Wybranowski – niegdyś związany z „Głosem”, później m.in. z „Naszym Dziennikiem”, „Rzeczpospolitą”, „Do Rzeczy”, WP oraz portalem internetowym TVP Info. Wybranowski zasłynął m.in. piętnowaniem blokowania profili polskich narodowców na Facebooku oraz krytyką usunięcia youtube’owego kanału Radia Maryja, na którym opublikowano kazanie abp. Jędraszewskiego o „tęczowej zaradzie”.

Krzysztof Zyzik z NTO może sobie pozwolić na nieco więcej niż kole- dzy z innych miast: Orlen ma co prawda w gazecie większość udziałów, ale reszta wciąż pozostaje w rękach spółki podległej opolskiej Solidarności. Mimo to Zyzik nie ma wątpliwości, że przed gniewem nowych szefów drugi udziałowiec go nie ochroni. Na konsekwencje swojej decyzji jest przygotowany. Na Facebooku napisał: „Tych, którzy od grudnia każą mi się pakować, po raz kolejny informuję, że spakowałem się już na początku roku, a moje biurko jest nieskazitelnie czyste i czeka na następcę. Mam też kredyt we frankach szwajcarskich, gdyby ktoś pytał, bo kredytami w naszym kraju usprawiedliwia się deficyty odwagi, a czasem i zwykłe świństwa”. (SEP)

REKLAMA

**Właściwy
adres ma
znaczenie**

wyborcza.pl

Kup książkę



Łukaszenka nie jest szalony

Prezydent Białorusi uznany został za państwowego terrorystę i ściągnął na siebie lawinę konsekwencji, których poznaliśmy dopiero początek.

Wiadomość o porwaniu samolotu linii Ryanair relacji Ateny–Wilno i zmuszeniu pilotów do lądowania w Mińsku przypominała światu o białoruskiej walce o wolność.

Uprowadzenie pasażerskiego boeinga z ponad setką ludzi na pokładzie, żeby porwać jednego dwudziestoparoletniego dziennikarza, zakrawa na szaleństwo, ale nim nie jest. Raman Protasiewicz jest kimś znacznie więcej niż dziennikarzem. Biografia podobna do naszych marcowych komandosów z 1968 r.: syn komunistycznego oficera z wydziału przygotowania ideologicznego Białoruskiej Akademii Wojskowej. Aktywny jako przeciwnik reżimu od wczesnego liceum, brał udział w protestach 2010 r., po raz pierwszy zatrzymany rok później, relegowany z uniwersytetu, z Białorusi musiał uciekać w 2019 r.

W czasie sierpniowych protestów Protasiewicz był redaktorem naczelnym platformy internetowej NEXTA (nazwa pochodzi od gry znaczeń – „nexta” to po rosyjsku „ktoś”, po angielsku ma oznaczać „następne pokolenie”), czyli największego białoruskiego kanału internetowego. Z Warszawy koordynował wielkie kilkuset tysięcy protesty, demaskował przestępstwa władzy, ujawniał wykradane przez hakerów (tzw. cyberpartyzantów) dane funkcjonariuszy KGB, MSW i wojska. Dostarczał światu

wszystkich możliwych informacji na temat sytuacji u naszego wschodniego sąsiada. Przez Łukaszenkę uznany został za terrorystę i wroga numer jeden.

Tytaniczna praca, którą wykonywał Protasiewicz razem ze Siciapanem Puciłą i zespołem NEXTY, polegała na odbieraniu płynącego z kraju potoku wiadomości, zdjęć i nagrań, weryfikowaniu ich, selekcji najważniejszych, a następnie podawaniu ich do publicznej wiadomości. W czasie protestów Protasiewicz i Puciła publikowali codzienne plany działań dla demonstrantów z podaniem miejsca i godziny, gdzie się zbierać i jak protestować, w Mińsku i kolejnych miastach. Były to bardzo zaangażowane apele, co budziło nie raz kontrowersje wśród białoruskiej opozycji ze względu na fakt, że w odróżnieniu od demonstrantów, twórca NEXTY przebywał poza granicami kraju i nie ryzykował tak wiele jak inni. Jak się teraz okazało, zarzuty te były niesłuszne, a emigracja mogła dawać złudne poczucie bezpieczeństwa.

Porywając Protasiewicza, Łukaszenka realizuje kilka celów jednocześnie. Nie tylko mści się na wyjątkowo szkodliwym dla reżimu dziennikarzu i aktywiście, stara się przestraszyć innych, ale także próbuje wydobyć sieć kontaktów, żeby wyeliminować innych przeciwników reżimu, w tym

przede wszystkim informatorów wśród skruszonych funkcjonariuszy służb i wojska. Łukaszenki w Białorusi nikt nie kocha, więc rządzić musi za pomocą strachu i pieniędzy. Stale więc wypływają nawet najtajniejsze informacje reżimu, nagrania najważniejszych dygnitarzy, w tym szefów służb (nagrano nawet rozkaz strzelania do demonstrantów), dane i zdjęcia sędziów, prokuratorów i innych sługusów reżimu. Władza niczego się tak nie boi jak demaskacji, gdyż ostracym społecznym dotykający posłusznych władzy i ich rodziny jest bolesny, bo powszechny.

Łukaszenka nie słynie z odwagi, za to słynie z emocjonalności. Nie jest jednak głupi. Przy władzy utrzymuje się od niemal trzech dekad i na razie jako jedyny przywódca na świecie potrafi oszukiwać samego Władimira Putina, latami obiecując mu integrację polityczną, wojskową i ekonomiczną, faktycznie migając się od tego. Sierpniowe protesty były wielką lekcją demokracji dla Białorusinów i dla świata, ale statusowi państwa nie pomogły, bo coraz bardziej uzależniały Łukaszenkę od Rosji.

Czy lotnicza izolacja państwa i uzgadnianie przez Unię Europejską sankcje ekonomiczne kończą sprawę? Niekoniecznie. W tym szaleństwie z porwaniem samolotu jest pewien zamysł. Owszem pokrętny, ale jeśli w grze z Rosją Łukaszenka posługuje się standardowymi pomysłami, to od razu byłby skazany na porażkę. Wy-specjalizował się więc w nieprzewidywalnych posunięciach, radykalnych i zuchwałych. Pokazując, że dla zemsty jest gotów porwać samolot pasażerski, wysłał sygnał temu, który jest dziś dla niego największym zagrożeniem, czyli samemu Putinowi. „Jeśli spróbujesz mnie połknąć, będę tak wierzył, aż się udusisz”. Moskwa z pewnością została poinformowana o planach Łukaszenki, bo i tak za pośrednictwem swoich kontaktów w KGB by się dowiedziała, ale nie miała powodu brać udziału w przedsięwzięciu. Putin ma już jednego przeciwnika za wolność w więzieniu i drugiego nie potrzebuje. Tym bardziej przed spotkaniem z Joe Bidenem 16 czerwca i pod koniec budowy Nord Stream 2, który jest dla Rosji tym, czym fundusze europejskie dla Polski.

Zachód o sankcjach zdecydował 21 czerwca. Najprawdopodobniej wprowadzi zakaz pożyczania białoruskim bankom pieniędzy, zakupu nawozów potasowych (Białoruś jest ich czwartym producentem na świecie) oraz petrochemicznych. Na przetwarzaniu i sprzedawaniu na Zachód rosyjskich surowców oparte jest białoruskie państwo opiekuńcze, utrzymujące wyższy poziom życia niż w Rosji. Dyktator i jego świta raczej z głodu nie umrą, ale opłacanie ogromnego aparatu przemocy będzie trudniejsze. A sankcje dotkną przede wszystkim zwykłych Białorusinów.

ŚLAWOMIR SIERAKOWSKI

Komunią w Bidena

Niebawem episkopat amerykański ma debatować, czy Kościół może pozwalać na udzielanie komunii katolikom tolerującym legalną aborcję. Temat uderza w obecnego prezydenta, drugiego w historii USA katolika na tym urzędzie. Joe Biden nigdy nie krył się ze swym katolicyzmem, regularnie praktykuje, był szefem delegacji amerykańskiej na inaugurację pontyfikatu Franciszka, spotkał się z nim kilkakrotnie. Papież zadzwonił do Bidena z gratulacjami wkrótce po ogłoszeniu jego wygranej. Franciszka łączy z prezydentem zainteresowanie sprawami sprawiedliwości społecznej, solidarności międzynarodowej w walce z pandemią i kryzysem ekologicznym. Zarazem Biden broni praw reprodukcyjnych kobiet, zniósł nałożony przez Donalda Trumpa zakaz federalnego finansowania organizacji wspierających te prawa i świadome macierzyństwo, nie zamierza ograniczać dostępu do legalnej aborcji.

Wygłada jednak na to, że dla części biskupów amerykańskich walka z aborcją jest ważniejsza niż szukanie wspólnego pola działania z obecnym prezydentem i współwyznawcą. Krytycy Bidena w Kościele naciskają, by episkopat udzielił mu reprimendy. To grozi, że sakrament eucharystii ulegnie upolitycznieniu w ramach wojny kulturowej. A przecież episkopat dobrze wie, że nie ma prawa blokować katolikowi dostępu do sakramentu komunii. To jest kompetencja biskupa lokalnego, w którego diecezji mieszka czy przebywa wierny. Dziś Biden najwięcej czasu spędza

w Waszyngtonie, gdzie ordynariuszem jest czarnoskóry kardynał (mianowany przez Franciszka), abp Wilton Gregory. Powiedział wprost, że wita prezydenta przystępującego do stołu Pańskiego, tak jak każdego innego katolika. Mniej wojowniczo nastawieni biskupi niepokoją się, radykałowie w episkopacie pogłębiają polaryzację społeczeństwa i Kościoła.

**Papież Franciszek
w Kongresie USA, 2015 r.**



Modi buduje

Bodaj jedyna niezatrzymana budowa w Delhi, gdzie obowiązują teraz surowe obostrzenia covidowe i życie jest mocno ograniczone, znajduje się przy najsłynniejszym szlaku stolicy. Rajpath, trzykilometrowa przestronna aleja, projektu architektów Lutyensa i Bakera, prowadzi z pałacu prezydenckiego, Rashtrapati Bhavan (gdzie za Anglików rezydował wielokrotnie) do Bramy Indii, zbudowanej na chwałę indyjskich żołnierzy. Teraz ma tu przybyć okazała **siedziba premiera**, dziś skromna i schowana, **nowy parlament i kilka budynków rządowych**.

Czy to najlepszy moment na takie inwestycje? Niby projekty ruszyły jeszcze przed pandemią, parlament jest rzeczywiście potrzebny, bo stary się dusi. Powstał, kiedy Indie liczyły 550 mln mieszkańców, a teraz jeden poseł reprezentuje 2,5 mln wyborców. Także premierowi podobno trudno jest zapewnić bezpieczeństwo w starej siedzibie, a skala urzędu nie odpowiada centralistycznym ambicjom Narendry Modiego; teraz ma mieć 10 czteropiętrowych budynków! Ale kiedy kraj dopadła druga fala zakażeń i rejestrowanych jest ich 200 tys. dziennie, zatkały się szpitale, brakuje tlenu, rozgrywają się dramatyczne sceny pogrzebowe, wydawało się, że wstrzymanie prac (w sumie szacowanych na 1,5 mld dol.) byłoby właściwym symbolem.

Stało się inaczej – i to też symbol. Po stosunkowo łagodnej pierwszej fali i drastycznym lockdownie Modi szybko ogłosił triumf, a druga fala okazała się całkowitym zaskoczeniem. Teraz też wiele wysiłku idzie na poprawianie obrazu sytuacji w kipiących oburzeniem mediach społecznościowych, władze skupiają się też na tym, aby lokalnej mutacji siejącej spustoszenie nie nazywać „wirysem indyjskim”. Oponenci tej gigantycznej stołecznej inwestycji uważają, że to pomnik ambicji, a inni, że nieposkromionej pychy premiera, który chce zdążyć na przyszłoroczną 75. rocznicę niepodległości i pozostawić po sobie trwały pomnik w sercu Indii. Zwłaszcza że historia może go bardzo różnie ocenić.

Chile znaczy rewolucja

Chilijczycy rozpoczęli bezprecedensowy proces całościowej naprawy ustroju państwa. Wybrali konstytuante, która w ciągu 9 miesięcy – a maximum roku – napisze nową konstytucję kraju; ta, która obowiązuje, powstała jeszcze za czasów dyktatury gen. Pinocheta (1973–1989). Jedynymi ograniczeniami dla autorów nowej ustawy zasadniczej jest republikański charakter państwa, dotrzymanie traktatów międzynarodowych i uznanie wyroków sądowych.

Konstytuantę tworzy 155 posłanek i posłów, wybranych według zasady parytetu (78 mężczyzn i 77 kobiet). Chilijczycy wybrali ich zarówno z list koalicyjnych partyjnych, jak i komitetów wyborczych kandydatów niezależnych i przedstawicieli rdzennych mieszkańców kraju z ludów Mapuche i Aymara.

Te ostatnie postulują, by Chile – wzorem Boliwii i Ekwadoru – zostało zdefiniowane jako republika wielonarodowa. Głosowanie, które odbyło się w połowie maja, przebrały siły obozu władzy: zdobyły zaledwie 37 ze 155 mandatów. To poniżej 1/3 głosów, a jedynie taki ich odsetek pozwalałby wetoować proponowane zmiany. Deputowani antyestablishmentowi, głównie niezależni, lewica i autochtoni zdobyli aż 93 miejsca. Partią obrotową może być establishmentowa centrolewica – 25 mandatów – ale prawdopodobnie większość jej deputowanych będzie sprzyjała zmianom.

Przepisy obecnej konstytucji gwarantują zamożnej mniejszości społeczeństwa rozmaite przywileje i uniemożliwiają większość dostęp do edukacji i służby zdrowia na dobrym poziomie czy godziwych emerytur. Każda radykalna ustawa reformatorska

wymaga teraz większości kwalifikowanej, jakiej zwolennicy zmian nie są w stanie zebrać. Początkiem pokojowej rewolucji – zmianę ustroju można nazwać rewolucją – były masowe protesty, które wybuchły kilka miesięcy przed pandemią, w 2019 r.

Zaczęło się od sprzeciwu wobec podwyżek cen biletów komunikacyjnych, a skończyło na postulatach wywrócenia ustroju państwa. Nie chodziło o 30 peso (za bilet) – chodziło o minione 30 lat. Protestujący wznosili hasło „precz wszyscy!” – znak upadku zaufania do rządzących i całego systemu. Dokładnie rok po buncie na ulicach, w 2020 r., Chilijczycy zdecydowali w powszechnym referendum, że chcą nowej konstytucji. Teraz wybrali jej autorów. Obserwatorzy spodziewają się głębokich zmian m.in. w kwestiach finansowania edukacji i opieki zdrowotnej, praw kobiet i rdzennych mieszkańców.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Co ma robić opozycja



ILUSTRACJA MAREK SOBCZAK

Co o opozycji myśli opozycyjny elektorat?

Co powinni zrobić przeciwnicy PiS, aby pokonać tę partię? Kto byłby najlepszym liderem antiPiSu? Czy do wyborów iść razem, trochę razem czy całkiem osobno?

Te i inne pytania zadaliśmy w sondażu POLITYKI i Kantar Public.

MARIUSZ JANICKI

Z

reguły sondaże badają polityczne poglądy całej populacji. Ale czasami takie podejście nie daje miarodajnych wyników. Tak się dzieje na przykład, kiedy to zwolennicy PiS także wybierają w badaniu lidera opozycji albo wypowiadają się o najlepszych ich zdaniem opozycyjnych koalicjach mających pokonać dzisiejszy obóz władzy. Dlatego POLITYKA zleciła pracowni Kantar sondaż szczególny: na ogólnopolskiej, reprezentatywnej próbie 1000 osób, które zadeklarowały głosowanie na partię opozycyjną lub jeszcze nie wiedzą, na kogo zagłosują (zbadano w tym celu polityczne preferencje blisko 2000 osób). Chodziło nam o zorientowanie się w opiniach i nastrojach wyborców niePiSu, także tych potencjalnych.

DZIELENIE TORTU. Na początek zobaczmy, jak wyglądałoby – według naszego sondażu – głosowanie z wyłączeniem PiS i jego wyborców. Polska 2050 Szymona Hołowni zbiera aż 28,7 proc. opozycyjnego tortu, druga Platforma tylko 18,2 proc. Od kilku tygodni w ogólnych sondażach Hołownia wyprzedza PO, ale jeśli się „odsączy” obóz władzy, to ta przewaga jest jeszcze wyraźniejsza. Politycy Platformy wciąż twierdzą, że Hołownia i jego ruch to zjawisko sezonowe, jak wcześniej Nowoczesna Ryszarda Petru, ale coraz mniej na to wskazuje. Hołownia wydaje się sprytniejszy od Petru, ma wokół siebie lepszych doradców i ekspertów, sprzyja mu też coraz większy udział social mediów w politycznym marketingu.

Sytuacja zapewne wyjaśni się do jesieni, zimy. Jeżeli zapowiadana ofensywa PO nie dźwignie jej notowań, a Hołownia nie zanotuje jakiegś „Madery”, zmiana na pozycji lidera może być trwała. Widzi to już chyba także Jarosław Kaczyński, który w jednym z ostatnich wywiadów zauważa wreszcie Hołownię, mówiąc mocno nieprzychylnie o jego partii, że to kolejna rekonfiguracja przeciwników PiS. Do tej pory w mediach związanych z PiS traktowano Polskę 2050 w miarę łagodnie, przeciwstawiano „antypolskiej” PO. Ale ta sytuacja się zmienia, a Hołownia przez swoją nieokreśloność, przez to, że jest z innej bajki niż ludzie, z jakimi PiS miał dotąd do czynienia, staje się przeciwnikiem, na którego trzeba wytoczyć inne armaty. W PiS można usłyszeć, że amator bywa groźniejszy niż zawodowiec, bo nie wiadomo, o co mu chodzi i jak zareaguje na różne sytuacje. Część elektoratu powoli oswaja się z pojęciem „premier Hołownia”, choć wciąż wielu się to nie mieści w głowie. Warto zauważyć, że Platforma i Polska 2050 mają łącznie 47 proc., blisko połowę opozycyjnych zasobów. Wynika z tego, że to nierzadko pogardzane polityczne centrum naprawdę istnieje i wciąż ma przewagę nad skrzydłami. PO jest mglista i zużyta, a Hołownia mglisty i nowy, jednak razem te umiarkowane i często niekonsekwentne propozycje wciąż określają opozycyny mainstream. Może dlatego, że poglądy Polaków też są często niejasne i eklektyczne.

DRUGA LIGA. Stanowią ją w naszym sondażu właśnie wymienione polityczne skrzydła: Lewica (8,1 proc.) i Konfederacja (10,4 proc.). Ten ich stan drugoligowy wydaje się trwały. Lewica, która ma aspiracje do wielkiej gry, wciąż nie może się wydostać ze strefy 10 plus minus, nadal ma mniej niż w wyborach w 2019 r., choć wtedy wydawała się na starcie do kariery i wzrostów, co wróżyło jej wielu komentatorów. Na razie jej zasięgi medialne daleko wykraczają poza realne wpływy i poparcie. Lewica wciąż czeka na swój przełomowy moment. Ma wierznych zwolenników, ale nie idzie po władzę, nawet się o nią nie ociera. Dziwne, że opisywany wielokrotnie, na podstawie badań, zwrot młodych Polaków w lewo nie przysparza Lewicy zwolenników. Może po zjednoczeniowym zjeździe Wiosny i SLD zostanie wreszcie wypromowana nazwa Nowa Lewica i nabierze własnej tożsamości; określi się też wobec Partii Razem. Konfederacja zaś to twór jeszcze dziwniejszy niż Lewica, obie te formacje to w istocie byty sejmowe i jako takie są traktowane w sondażach. Gdyby je podzielić na realne polityczne składowe, to byłyby mikroformacje, bez znaczenia dla pokonania PiS.

Tak jak Koalicja Polska-PSL (3,4 proc. w naszym sondażu) i Kukiz'15 (2,9 proc.). Kukiz'15 być może zresztą już wkrótce przestanie być niePiSem, bo rozmowy lidera tej partii z Jarosławem Kaczyńskim wciąż trwają. PSL tkwi zaś w kryzysie od wyborów prezydenckich, kiedy to Władysław Kosiniak-Kamysz poniósł bolesną porażkę. Trwają prace nad nowymi politycznymi inicjatywami na bazie ugrupowania ludowców (ewentualne przejście tam konserwatystów z PO), ale to na razie układanki personalne, bez żadnego przełożenia na poparcie. Polska polityka często bazuje

Poparcie dla partii opozycyjnych

(w proc.)

Polska 2050 Szymona Hołowni

28,7

2050

Koalicja Obywatelska, tj. PO, Nowoczesna

18,2

KOALICJA OBYWATELSKA

Konfederacja Wolność i Niepodległość

10,4

KONFEDERACJA

Lewica, tj. SLD, Wiosna, Razem

8,1

LEWICA

Koalicja Polska – Polskie Stronnictwo Ludowe

3,4

KOALICJA POLSKA

Partia Kukiz'15

2,9

KUKIZ'15

inna partia

2,1

trudno powiedzieć

26,2

na gabinetowych układach. Przejęcie jakiegos posła w Sejmie bezzasadnie urasta do rangi wydarzenia, ale politycznie nie istnieje nic, czego nie ma w sondażach, to tylko de facto życie towarzyskie.

PARTIA NIE WIEM. Istotna jest jeszcze jedna formacja, ujawniona w naszym sondażu, niewiele mniejsza niż partia Hołowni. To partia „Nie wiem” – aż 26,2 proc. To ponad ćwierć potencjalnego elektoratu opozycji. Wciąż w zasięgu antypolskich partii, ale ci wyborcy nie będą czekać wiecznie. Jeśli ktoś ich nie przekona do siebie, mogą uciec na trwałe do strefy niezdecydowanych i niezainteresowanych albo nawet pójść do PiS. Jeżeli ktoś „nie wie”, to przypuszczalnie są to wyborcy środka i będą się o nich bić Borys Budka i Szymon Hołownia. To istotna grupa wyborców, która zdecyduje, czy w Polsce powstanie główna partia opozycyjna – a taka jest konieczna, aby wygrać z PiS. Na razie stało się to, co w POLITYCE przewidzieliśmy kilka miesięcy temu: z jednej dużej partii, PO, która miała ok. 30 proc. poparcia, powstały dwie mające w skali ogólnopolskiej, z udziałem PiS, średnio po kilkanaście, dwadzieścia procent. Ordynacja D'Hondta powoduje, że to wariant znacznie mniej dla opozycji korzystny, zwłaszcza gdyby PiS znowu wyskoczył ponad 40 proc.

Dla idei pokonania PiS dobre jest, aby ten niezdecydowany elektorat przepłynął w znacznej części albo do Platformy, albo do partii Hołowni. Wymogi ordynacji sprawiają, że przynajmniej jedna partia opozycyjna musi być maksymalnie blisko zwycięskiego ugrupowania. Reszta może się dołożyć, ale kilka małych partii nie zastąpi jednej dużej. Politycy to doskonale wiedzą, ale nie informują wyborców, bo mają własne interesy, które w planie pokonania PiS nie mają żadnego znaczenia, ale dla nich są zasadnicze: utrzymanie funkcji w partii, stanowisk w Sejmie, swoich ludzi w regionach, powiatach, sejmikach wojewódzkich itp. Wyborcom może się wydawać, że liderzy opozycji od rana do wieczora zastanawiają się, jak pokonać Zjednoczoną Prawicę, ale to w dużej mierze mit. Liczy się przede wszystkim „zakład pracy”, czyli partia i jej struktury. Ugrupowania, także opozycyjne, traktują się jak wrogie firmy walczące o podobnych klientów. Zaangażują się w walce z PiS, ale na tyle, na ile im się to opłaci. Od dawna nie ma żadnego alertu w obronie demokracji. Każda koalicja opozycji kończy się na dyskusjach o „jedynkach” na listach wyborczych. ►

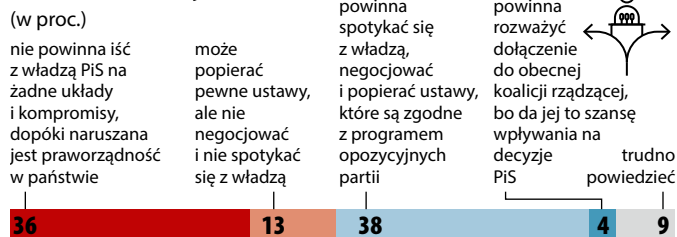
► **CZY SIADAĆ Z WŁADZĄ DO STOŁU?** Kolejne pytanie, jakie zadaliśmy respondentom sondażu, dotyczyło tego, jak powinna się zachowywać opozycja wobec obozu władzy. Okazało się, że grupa wyborców, którzy uważają, że „opozycja nie powinna iść z władzą na żadne układy i kompromisy, dopóki w państwie jest łamana praworządność”, to całkiem sporo, bo 36 proc. To jest ta najtwardsza antypisowska gwardia, w tym uczestnicy protestów. Geograficznie przeważają tu województwa zachodnie, dużo jest w tej grupie osób starszych, z mniejszych ośrodków. Nieco łagodniejsza wersja, czyli „popieranie pewnych ustaw, ale bez spotkań i negocjowania z władzą”, odpowiada 13 proc. opozycyjnych wyborców. W takim ujęciu np. przy głosowaniu nad Europejskim Funduszem Odbudowy należało zagłosować „za”, bez żadnych negocjacji z premierem Morawieckim, na zasadzie prostego pokwitowania przesyłki z Brukseli. Zdaje się zresztą, że była to najrozsądniejsza opcja dla opozycji. Łącznie przeciwników rozmów z obozem PiS jest zatem 49 proc. niePiSu. Do wyboru w naszym sondażu była też wersja, jaką wybrała Lewica, czyli „opozycja powinna spotykać się z władzą, negocjować i popierać ustawy, które są zgodne z programem opozycyjnych partii” – takie rozwiązanie wybrało 38 proc. zapytanych, też całkiem sporo. Tutaj z kolei przeważają, co ciekawe, mieszkańcy młodszy, z większych miast. Być może zatem twardy antypisowski trzon przenosi się w „teren”, co potwierdzały liczne protesty właśnie w mniejszych miejscowościach.

Zwolenników ostatniej opcji w naszym sondażu, czyli że „opozycja powinna rozważyć dołączenie do koalicji rządzącej, bo da to jej szansę na wpływanie na decyzje PiS”, jest tylko 4 proc. To postulat jednego z lewicowych publicystów sprzed kilku lat. Jak widać, specjalnie się nie przebił. Ale te 4 proc. może być pomocne w oszacowaniu poparcia dla tzw. lewicy socjalnej, bo to z tamtego kierunku najczęściej słychać głosy, iż PiS to właściwie socjaliści.

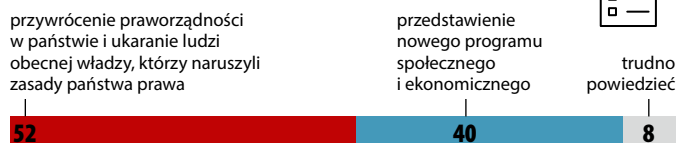
PRAWORZĄDNOŚĆ CZY SOCJAL? Aby dokładniej zorientować się w trendach dominujących w opozycyjnym elektoracie, zadaliśmy pytanie niejako zero-jedynkowe: co jest najważniejsze spośród rzeczy ważnych? Opcję, że najważniejsze jest „przywrócenie praworządności i ukaranie ludzi obecnej władzy, którzy naruszyli zasady państwa prawa”, wybrało 52 proc. zapytanych. Drugą: „przedstawienie nowego programu społecznego i ekonomicznego” – 40 proc. „Nie wie” – 9 proc. Przeczy to tezie, że konstytucja, sądownictwo, niezależność instytucji kontrolujących władzę to już zupełnie „zgrana melodia”, która nikogo nie interesuje, bo „rzeczywistość poszła dalej”. Jednak dla większości opozycyjnych wyborców – jak się okazuje – to sprawa wciąż najważniejsza. Liderzy niePiSu, którzy odpuszczają ten temat, mogą popełniać duży błąd, nie dostrzegając autentycznej emocji, która może umykać pod wpływem przekazów PiS, propagandy tzw. Polskiego Ładu i dyskusji o podatkach. Wciąż jest wiele osób, dla których kwestia osobistej wolności, gwarancji praw obywatelskich, zachowania demokratycznych standardów jest w sumie istotniejsza niż socjal i ekonomia. Za tą opcją znowu opowiadają się częściej, niż wynosi średnia, ludzie starsi (60+), z mniejszych miast i miasteczek, i jest to mocna korelacja.

Zarazem nie do zlekceważenia jest wyrażona w sondażu potrzeba „przede wszystkim nowego programu”. Opowiadają się za nim częściej ludzie młodszy, z wyższym wykształceniem, z dużych miast i metropolii. Widoczne w naszym badaniu przeniesienie się najtwardszego sprzeciwu wobec

Jak powinna się zachowywać opozycja wobec obozu władzy PiS?



Które z wymienionych zadań opozycji jest najważniejsze? (w proc.)



Jak opozycja powinna pójść do wyborów? (w proc.)



praktyk PiS z wielkich miast na prowincję może opozycję cieszyć i martwić jednocześnie. Polska powiatowa to była dotąd domena PiS i to się może zmieniać, choć niewykluczone, że dotyczy to tylko inteligencji. Miasta zaś, co wyraźnie widać w naszym badaniu, są bardziej skłonne do szukania kompromisu z PiS i żądają od opozycji przede wszystkim programu. Nie wiadomo jeszcze, czy oznacza to ogólne rozmiękczenie nastrojów antypisowskich w metropoliach, które dotąd były bastionem opozycji. Widać jednak, że oferta opozycji musi łączyć rozliczenia i naprawę ustroju z nową wizją społeczną. Oba te elementy są – jak wynika z naszego sondażu – silnie ze sobą związane, żadne z nich nie do pominięcia.

RAZEM CZY OSOBNO? A jak opozycja powinna pójść do wyborów, przyspieszonych lub terminowych w 2023 r.?

– o to również zapytaliśmy w sondażu. „Jako jeden zjednoczony blok” – tak sądzi 29 proc. respondentów. „Jako dwa bloki: liberalno-lewicowy i konserwatywny” – 18 proc. (to rozwiązanie lansowane przez Rafała Trzaskowskiego). Trzecia opcja koalicyjna to „trzy bloki: liberalny, Lewica oraz konserwatyści” – tę wskazało 9 proc. I wreszcie najliczniejsza grupa – 32 proc. – uważa, że „wszystkie partie opozycyjne powinny pójść do wyborów oddzielnie”. Za jednym blokiem opozycyjnym opowiadają się częściej wyborcy Platformy, za dwoma blokami – elektorat Szymona Hołowni, a za trzema – sympatycy Lewicy. Wśród zwolenników pójścia do wyborów oddzielnie wyróżniają się licznie wyborcy Kukiz'15 i Konfederacji, co zresztą specjalnie nie dziwi.

Zwraca uwagę, że podobna liczebnie jest grupa najtwardszych przeciwników PiS i zwolenników jednego bloku wyborczego opozycji. Ale widać ogólniejszą tendencję, aby niePiS nie

rozdrabniał się nadmiernie: zwolennicy jednego lub dwóch bloków to łącznie 47 proc. respondentów naszego badania. Całkiem jednak spore, choć mniejszościowe, jest grono zwolenników oddzielnego startu ugrupowań. Zadaniem liderów partii opozycyjnych jest zatem przeprowadzenie projektu, który te trendy optymalnie pogodzi. W nastrojach przeciwników PiS bliżej jest do idei jednoczenia niż dzielenia. Choć widać też w opozycyjnym elektoracie podziały, wzajemne niechęci, niepewność, brak jednoznacznego wektora. A zwłaszcza przywódcy, który by coś wyjaśnił, wskazał kierunek. Wydaje się wręcz, że w takim stanie bezkrólewia i tak opozycja jest w lepszej kondycji, niż można by przypuszczać.

KANDYDACI NA PREMIERA. I jeszcze pytanie przyszłościowe w sondażu POLITYKI: „Kto powinien być premierem po odzyskaniu władzy przez opozycję?”. Rafał Trzaskowski i Szymon Hołownia – remis, po 23 proc. To dzisiaj ewidentnie dwie czołowe postaci opozycji, wyrosłe podczas kampanii prezydenckiej. Za nimi długo nie ma nic. Trzeci Krzysztof Bosak zebrał 7 proc. wskazań. Czwarty Donald Tusk – 6 proc. Władysław Kosiniak-Kamysz ma 5 proc. poparcia w tej kategorii. Włodzimierz Czarzasty też remisuje, kilka piętér niżej, z Adrianem Zandbergiem – na poziomie 2 proc. Ostatni na naszej liście kandydatów na opozycyjnego premiera jest Borys Budka – z 1 proc. wskazań. Wygląda to dość brutalnie, ale takie są wyniki badania opinii. Wynik Bosaka to część notowań Konfederacji. Liderów Lewicy niemal nikt nie widzi w roli premiera, zresztą Czarzasty sam siebie postrzega – o czym mówił w wywiadach – jako udziałowca, a nie lidera przyszłego rządu. Zandberg zaś spełnia się jak dotąd jako nieczęsty mówca i komentator wydarzeń. Nie widać żadnej jego drogi do władzy. Obaj wyraźnie oczekują, że to kto inny pokona PiS, a oni się przyłączą.

Pozycja Tuska w tym rankingu nie może dziwić, bo był przewodniczący Platformy dawno nie zrobił wiele, by dać przesłankę, że jest skłonny w jakiejś konkretnej wersji powrócić. To raczej koniec istotnej, sprawczej roli i wyborcy to dostrzegają. Z naszego sondażu wynika, że zwolennicy Platformy oczywiście wskazują przede wszystkim Rafała Trzaskowskiego (48 proc. wskazań), ale też Donalda Tuska (15 proc.), Władysława Kosiniaka-Kamysza (7 proc.) i Szymona Hołownię (5 proc.), jednak aż 16 proc. wybrałoby „inną osobę”. Elektorat Hołowni wskazuje na swojego lidera w 52 proc., ale aż 21 proc. widziałoby w fotelu premiera Rafała Trzaskowskiego. Podobnie dla wyborców Lewicy Trzaskowski jest pierwszym wyborem (35 proc. wskazań), potem jest Adrian Zandberg (24 proc.) i Włodzimierz Czarzasty (7 proc., tyle co Tusk). Wyborcy PSL dość równomiernie rozkładają swoje preferencje w sprawie premiera z opozycji między Trzaskowskiego (21 proc.), Hołownię (20 proc.) i z lekką górką – Kosiniaka-Kamysza (25 proc.). Widać, że partyjne elektoraty są w tej kwestii dość elastyczne, co jest niezłym prognozykiem, jeśliby opozycja podjęła jakieś koalicyjne negocjacje.

ZDETERMINOWANI I ZDEZORIENTOWANI. Jest zatem dwóch liczących się graczy, dwóch premierów *in spe*. Także inne badania potwierdzają, że koalicja Trzaskowski – Hołownia byłaby w stanie wygrać z PiS. To są dzisiaj praktycznie jedyni politycy, którzy decydują o kondycji i szansach opozycji. Jednak realny układ sił nie sprzyja tej optymalnej układance. Trzaskowski buduje dziwną, zewnętrzną wobec Platformy strukturę, co doprowadza działaczy PO do białej gorączki. Paradoks polega na tym, że im bardziej Platforma słabnie, tym bardziej potrzebuje Trzaskowskiego. Ale im bardziej słabnie PO, tym mniej chce ją Trzaskowski. Zapanowała hipokryzja. Politycy Platformy udają, że wierzą Trzaskowskiemu, iż ten nie robi im konkurencji, a Trzaskowski udaje, że wierzy w ich wiarę.

Kto powinien zostać premierem po odzyskaniu władzy przez opozycję? (w proc.)

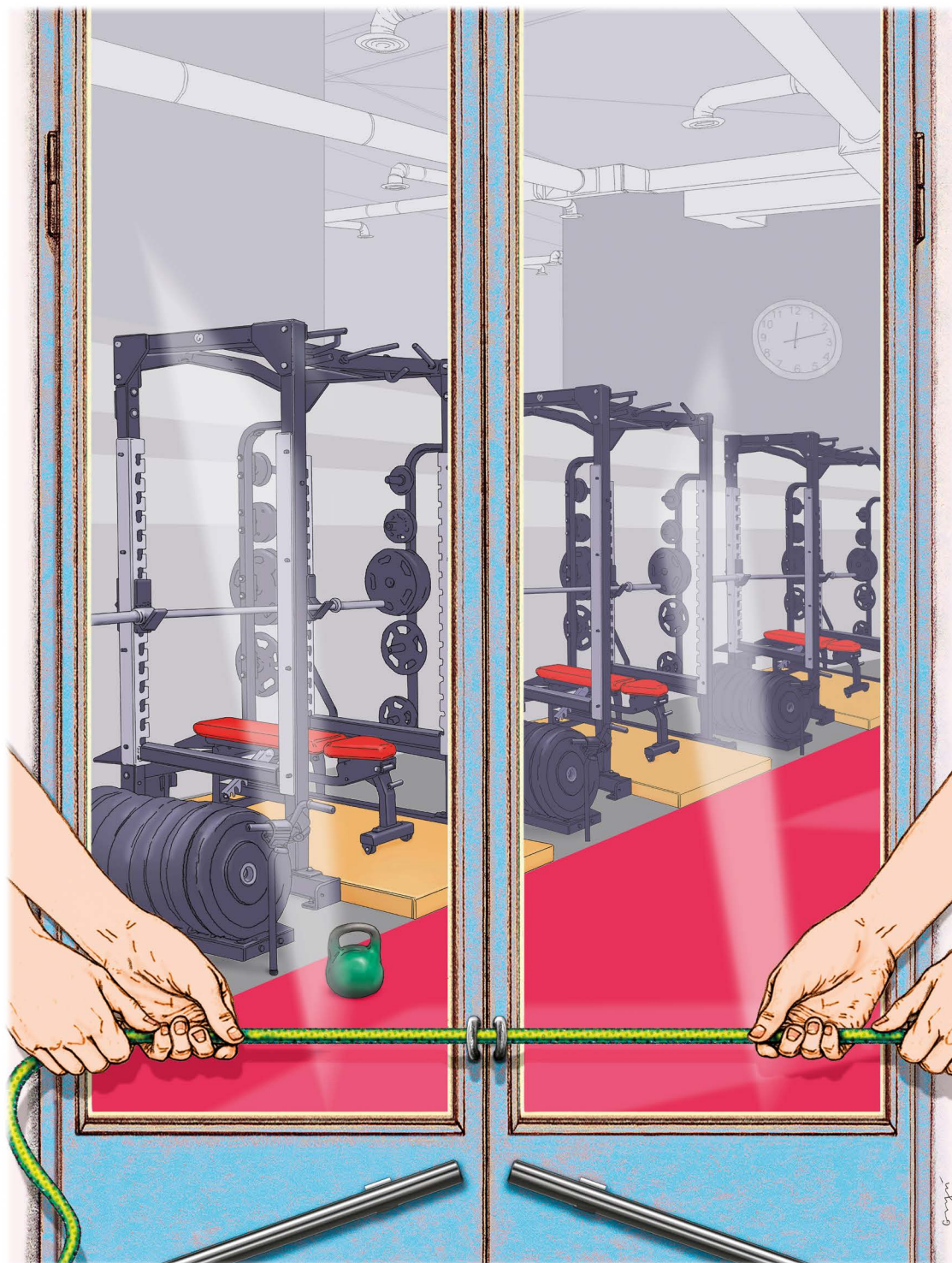


Tak się umówili. Prezydent Warszawy wyraźnie testuje swoje możliwości. Przespał sprawę i to widzi. Hołownia, który w prezydenckich wyborach był ubogim krewnym Trzaskowskiego, teraz ma partię, która wygryza Platformę. Trzaskowski, uwiązany prezydenturą w Warszawie, przegrał start nowej formacji i teraz próbuje nadrobić dystans do byłego prezentera TVN. W jednym sondażu, jaki się niedawno ukazał, gdzie oddzielnie potraktowano jego Wspólną Polskę i Platformę, wygrał ze swoją partią, dostając 14 proc., a PO – 8 proc. To wciąż dzielenie tego samego kurczącego się tortu. Plan Trzaskowskiego rysuje się mniej więcej tak: jeśli jego inicjatywa będzie się rozwijać, będzie energia, emocje, ludzie na eventach, to w pewnym momencie Trzaskowski wrzuci to kilka razy w sondaże i zobaczy, jak „hula”. Wciąż namawiają go na oderwanie od partii matki samorządowcy. Trzaskowski czeka na swój moment. Pytanie, czy jest w stanie mentalnie podjąć krytyczną decyzję – tak jak kiedyś Tusk, odchodząc z Unii Wolności i zakładając Platformę – po czym np. podjąć samodzielne rozmowy z Hołownią.

Z naszego sondażu wynika, że wyborcy opozycji są po części zdeteterminowani, po części zdezorientowani, i w końcu niezdecydowani. Potencjał jest, poparcie dla niePiSu w sumie nie najgorsze, ale wielowektorowe, rozproszone. Można wyczuć w wynikach naszego badania oczekiwanie na jakiś spektakularny ruch, inicjatywę, nową konfigurację personalną, na wysunięcie się na czoło wyraźnego lidera, na którym skupiłyby się uwagi i oczekiwania większości. Politycy dają sobie jeszcze dużo czasu do wyborów, pytanie, czy ten czas dadzą im wyborcy.

MARIUSZ JANICKI

Badanie zrealizowane przez Kantar Public na próbie 1000 osób, które zadeklarowały głosowanie na opozycję lub jeszcze nie wiedzą, na kogo zagłosują. Wywiady były prowadzone za pomocą CATI (wywiady telefoniczne) w dniach 19–21 maja 2021 r.



ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

MARCIN PIĄTEK

Trzy, dwa, jeden, start!

Choć formalnie część lockdownowych ograniczeń już zniesiono, szturm na restauracje, kina, teatry czy siłownie nie było. Wielkie otwarcie chyba przed nami. Po zimnej i „zamkniętej” majówce przed nami pierwszy „prawdziwy” długi weekend. Hotele zarezerwowane, bilety kupione, ciuchy do ćwiczeń spakowane...